

„NIC NIE WSTRZYMA RUCHU WAŁKA”

Z ZENONEM PAŁKĄ, DRUKARZEM NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ NOWA, ROZMAWIA PAWEŁ SOWIŃSKI

Paweł Sowiński: W 1971 r. rozpoczął pan zasadniczą służbę wojskową. Wyrzucano pana z wojska za wegetarianizm?

Zenon Pałka: Nie powiedzieli, za co mnie wywalają. Zjawiłem się w armii z wielką torbą jabłek. Oświadczyłem, że jestem wegetarianinem. Potem konsekwentnie jadłem tylko ziemniaki, surówki, chleb i ser. Po dziesięciu miesiącach stwierdzono, że się jednak nie nadaję do służby wojskowej.

We wczesnych latach siedemdziesiątych byłem hipisem, we Wrocławiu założyłem wraz z przyjaciółmi Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Indyjskiej. To była nasza wolność hipisowska. Policja próbowała przeszkadzać. W 1976 r. pierwsze materiały opozycyjne – wówczas jeszcze przepisywane na maszynie – dostałem od „Dreptaka”, hipisa, który przywiózł do Wrocławia bibułę z Krakowa. Wraz z „Bizonem” zajęliśmy się rozpowszechnianiem niezależnych materiałów. *Nierzeczywistość* Kazimierza Brandysa – pierwszą powieść krajowego pisarza wydaną poza cenzurą (1977) – wydrukowałem na powielaczu denaturatowym w mieszkaniu Basi, dziewczyny „Dzikiego”, znanego wrocławskiego hipisa.

P.S.: Potem wszedł pan na całego w produkcję bibuły. Byliście razem z Janem Walcem parą drukarską.

Z.P.: Żaden z nas nie był zawodowym drukarzem. Jestem z wykształcenia informatykiem, po szkole elektronicznej. Nie mieliśmy w pełni opanowanej technologii powielania. Trochę czytaliśmy, rozmawialiśmy z fachowcami (ale ostrożnie), uczyliśmy się metodą prób i błędów.

Janek Walc był jednym z najporządniejszych ludzi, jakich znałem. Długie dni i noce spędzaliśmy razem. Wprowadzałem go w drukowanie. Sporo drukowaliśmy dla Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, m.in. „Biuletyn Informacyjny”.

Najlepsze warunki pracy były właśnie u Walców, w ich willi w Podkowie Leśnej. Czuję się tam najlepiej. Duża piwnica, niezłe miejsce do spania, dobre jedzenie i – najważniejsze – towarzystwo. Janek, świetny rozmówca, dużo opowiadał, dyskutowaliśmy. To było nie tylko powielanie, ale przeżycie intelektualne, życiowe, którego nigdy nie zapomnę.

Czasami drukowaliśmy w małych piwniczkach, siedząc na węglu, który bywał w takich miejscach składowany. Niemal nie można było się ruszyć. Innym razem rozłożyliśmy się w drewnianym domu wśród wielkich sadów pod Warszawą. Izolowaliśmy się od ludzi, by nie usłyszeli odgłosu maszyny. Podczas drukowania leciało Radio Wolna Europa. Chcieliśmy wiedzieć, co się dzieje. Nagle słyszymy, że wybrano Karola Wojtyłę na papieża. Jakaż to była radość! Tańczyliśmy, cieszyliśmy się. Wstąpiła w nas nadzieja, że ten wybór mocno nas pchnie do przodu w walce z komuną.

P.S.: Zachowały się dwa zdjęcia z drukarni piwnicznej w willi Walców.

Z.P.: Kolorowe, z wiosny 1980 r. Na jednym Janek, na drugim ja. To są jedyne zdjęcia z Podkowy Leśnej, jakie sobie zrobiliśmy. Powielacz na zdjęciu to amerykański A.B. Dick, nasza najlepsza maszyna. Najpierw długo z nią walczyliśmy, by ją lepiej poznać. Niesforna. Nie mogliśmy dobrać farby, a ona odwdzięczała się brzydkim drukiem. Ale w końcu ją opanowaliśmy.

Nie miała automatycznego podajnika, musieliśmy podawać papier ręcznie. Janek próbował pracować jako „podajnik”, ale nie potrafił się dobrze wsłuchać w stukot maszyny. By zachować tempo albo zwiększać je, trzeba było mieć dobry słuch. Ja zajmowałem się papierem, a Janek ze smutkiem stwierdzał, że pozostaje mu rola „odbieracza”.

Mieszaliśmy olej lniany z farbami drukarskimi, by uzyskać właściwą konsystencję. Druk nie powinien być zamazany ani ciekący. Gęstość farby zależała od temperatury otoczenia. Trzy, cztery dni pracowaliśmy dzień i noc, by farba nie zastygła w czasie druku. Inaczej trzeba byłoby czyścić maszynę od nowa, a to była papranina.

Maszyna hałasowała, stąd jestem sportretowany w *Wolnej Wałkowej* ze słuchawkami na uszach. Słuchaliśmy muzyki, ale również czytaliśmy to, co drukowaliśmy. Janek bardzo lubił poprawiać błędy ortograficzne na matrycy białkowej, rzadko się jednak zdarzały.

Podpisywaliśmy się Wolna Wałkowa Drukarnia Polowa im. J.P. Pod tymi inicjałami krył się Józef Piłsudski. To Janek wymyślił. Był piłsudczykiem, ale środowisko niezbyt. Stąd ten kamuflaż – J.P.

P.S.: Czuliście ryzyko wpadki?

Z.P.: Za każdym razem istniało prawdopodobieństwo, że coś się posypie, ktoś wyda. Nie baliśmy się siebie nawzajem. Przesiedzieliśmy się jednak parokrotnie w areszcie. Podczas schwytania przez esbecję staraliśmy się krzyczeć: jesteśmy aresztowani, nasze nazwiska, numer telefonu Jacka Kuronia. To pomagało.

P.S.: Krążyła rymowanka: „Choć pobity Zenek Pałka, nic nie wstrzyma ruchu wałka”.

Z.P.: To oczywiście Janek ułożył. Pobito mnie w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej na ul. Łąkowej we Wrocławiu w 1979 r., gdyż odmawiałem odpowiedzi na pytania podczas przesłuchań i nie chciałem niczego podpisywać. Nauczyła mnie tego Bogusia Blajfer, moja „matka chrzestna”, która wprowadzała mnie do środowiska korowskiego.

Esbekom się to nie podobało, więc wysłali mnie „na dotek” z poleceniem ostrego bicia. Dwóch rojących milicjantów wyciągnęło lagi – jakby gigantyczne skarpety napełnione piaskiem. Tak mnie poturbowali, że przez tydzień leżałem z odbitymi nerwami, sikałem krwią dosłownie. Dlatego Janek napisał tę rymowankę w „Biuletynie Informacyjnym”.

P.S.: Jak to się stało, że drukował pan w Warszawie? Mieszkał pan przecież we Wrocławiu...

Z.P.: Bogusia Blajfer poznała mnie w Warszawie z Mirkiem Chojeckim, który zakładał właśnie NOW-ą. On zaproponował mi pracę. Spróbowałem, bardzo mi się spodobало i zostałem. Ale drukowałem nie tylko z ludźmi z Warszawy. Pracowałem często ze mną Antek Roszak z Wrocławia. Również Jurek „Dreptak” wielokrotnie nam pomagał.

Przy tej okazji powinienem wspomnieć o moim „ojcu chrzestnym” – Zbyszku Garwackim, który poznał mnie z Antkiem Macierewiczem jeszcze w 1976 r.

P.S.: W sierpniu 1980 r. znalazł się pan w Stoczni Gdańskiej.

Z.P.: Byliśmy większą grupą w pobliżu, w Dębках, na wakacjach – m.in. Mirek Chojecki z rodziną, Wildsteinowie, Mariusz Wilk z żoną, Henryk Zieliński. Najpierw do Gdańska pojechał Mirek, wrócił do Dębek z informacjami, że w stoczni zaczął się strajk. Wtedy pojechaliśmy wszyscy – każdy osobno. Bronka, Mariusza i Heńka dorwała Służba Bezpieczeństwa, nam z Mirkiem udało się dostać do stoczni. Mirek wkrótce wpadł podczas przemieszczania się do innej części Gdańska. Mariusz Wilk, którego esbecja wysłała do Wrocławia i tam wypuściła, wrócił natychmiast do Gdańska i wspomagał strajkujących.

Tuż przed końcem strajku w stoczni wróciłem do Wrocławia, wylądowałem w strajkującej zajezdni tramwajowej przy ul. Grabiszyńskiej. Potem zaangażowałem się w prace poligraficzne, zajmowałem się też organizacją pierwszej telegraficznej agencji informacyjnej NSZZ Solidarność na Dolnym Śląsku (przydały mi się nauki nabyte w wojsku, gdzie próbowano zrobić ze mnie telegrafistę...). Z tego powstała potem codzienna gazetka Solidarności „Z Dnia na Dzień”. Stworzyliśmy też tygodnik „Solidarność Dolnośląska”. Robiliśmy wtedy wszystko naraz, pracując często znowu 24 godziny na dobę...

W marcu 1982 r. wpadłem ręce SB. Po miesiącu aresztu (prokurator wojskowy „nie znalazł wystarczających dowodów, że w stanie wojennym produkowałem, przetrzymałem i rozpowszechniałem wrogie materiały grożące interesom PRL”) zostałem wysłany do więzienia w Nysie, gdzie siedziałem do końca lipca 1982 r. jako internowany.

P.S.: Kiedy zakończył pan pracę w obiegu niezależnym?

Z.P.: Wyszedłem z więzienia, gdy wystąpiłem o wyjazd na stałe z kraju. Przez pół roku udawało się nam z żoną jednak nie wyjechać. Potem zaczęto grozić „konsekwencjami” mojemu teściowi. Nie mieliśmy pracy, byliśmy z żoną na jego utrzymaniu. Moja mama została usunięta z pracy z dnia na dzień zaraz po 13 grudnia, odchowywała to latami. Tato już od czasu mojego „nielubienia” wojska został wysłany na bardzo skromną rentę, z której utrzymywał jeszcze moich dwóch młodszych braci.

Ostatniego dnia lutego 1983 r. wyjechaliśmy do Niemiec – z zamiarem dalszej podróży do Paryża, gdzie od początku stanu wojennego mocno działał Mirek Chojecki. Jednak o azyl musieliśmy wystąpić w Niemczech (pierwszym kraju, w którym znaleźliśmy się jako uchodźcy). I tam też zostaliśmy. Nigdy nie udało się nam dotrzeć do Paryża. Ale jedna z nitek pomocy dla podziemnej Solidarności z Paryża prowadziła przez nasze mieszkanie w Monachium.